

ROBERT J. SZMIDT

EMISARIUSZ

POWIEŚĆ Z UNIWERSUM GRY

CHERNOBYLITE



PROT

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Ilustracja użyta na okładce oraz zdjęcia w książce:

za zgodą The Farm 51 Group SA

Redakcja: Urszula Gardner

Pierwsza korekta: Anna Płaskoń-Sokołowska

Druga korekta: Helion S.A.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

WWW: wydawnictwospoty.pl

ISBN: 978-83-289-3278-4

Copyright © Helion S.A. i Robert J. Szmidt 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Ziemia 189 C

W ocenie wielu ludzi my, planewalkerzy, jesteśmy jak komiksowi superbohaterowie. Blżej nam wprawdzie do Punishera niż Supermana, ale muszę przyznać, że temu porównaniu trudno zaprzeczyć. Czysta postać czarnobylitu może zabić albo zamienić człowieka w odrażającą bestię, jedną z tych, na które polujemy w Zonie, ale jeśli zostanie odpowiednio podana i nie będziesz mieć wyjątkowego pecha, to wzmocni twój organizm, wyostrzy ci zmysły, uczyni cię kimś naprawdę wyjątkowym. Więcej nawet – pozwoli na graniczące z cudem podróżowanie między wymiarami oraz na odwiedzanie alternatywnych wersji Ziemi. Ale biada temu, kto bezwarunkowo uwierzy w swoją wyjątkowość.

Ja, Adam Zahorski, trzydziestoczteroletni emisariusz Narodowej Akademii imienia Roźdiestwienskigo, jestem tego żywym – choć nie wiem jak długo jeszcze – dowodem.

Zacznijmy jednak tę opowieść jak trzeba, od samego początku...



Pod koniec lat osiemdziesiątych minionego stulecia przekonaliśmy się w bardzo bolesny sposób, że istnieją inne, równoległe wymiary. Jest ich zapewne nieskończenie wiele – takie

założenie przyjęliśmy i przy nim trwamy, bo całej prawdy o multiwersum nie poznamy nigdy, tak jak nie dowiemy się wszystkiego o wszechświecie, w którym przyszło nam żyć. Krótko mówiąc, jest to problem skali.

Na razie udało się ustalić jedno: każda z eksplorowanych przez nas linii czasowych jest inna. Są wśród nich i takie, które przypominają do złudzenia znaną nam rzeczywistość, ale zaznaczmy od razu: to ogromna rzadkość. Na niemal tysiąc zbadanych do tej pory wymiarów tylko trzy spełniały to wyśrubowane kryterium i tylko tam zdołała przetrwać zaawansowana cywilizacja. W nomenklaturze NAR, w której służę od ponad czterech lat, zaliczane są one do najwyższej kategorii, czyli A.

Tamtejsze cywilizacje to nasi jedyni konkurenci w wyścigu po krystaliczny czarnobylit, można nawet powiedzieć: rywale. Na szczęście nie musimy z nimi walczyć – światów równoległych w multiwersum jest wystarczająco dużo, by starczyło w nich, i to z nadmiarem, miejsca dla każdego zainteresowanego. Inaczej mówiąc: podpisano stosowne traktaty i odtąd nikt nikomu nie wchodzi w drogę, a jeśli zaistnieje jakiś międzycywilizacyjny problem, rozwiązuje się go szybko, zazwyczaj metodami dyplomatycznymi.

Teoria głosi, że pewien – może nawet znaczny – procent linii czasowych pozostaje dla nas niedostępny. Na którymś z wcześniejszych etapów historia musiała się tam potoczyć zupełnie inaczej niż w naszym wymiarze. A to słynna asteroida minęła Ziemię o włos, przedłużając panowanie wielkich gadów o kolejne eony, a to homo sapiens wyginął w późniejszym, choć równie niszczycielskim kataklizmie. Są też po prostu światy, w których cywilizacja nie osiągnęła poziomu umożliwiającego

rozszczerzenie jądra atomu, a to podstawowy warunek styczności z czarnobylitem.

Wszystkie pozostałe Ziemie, czyli te wersje planety, na których zdołano prędzej czy później okiełznać energię nuklearną, mają jedną wspólną cechę: przypominają kręgi piekieł oznaczonych czarnobylitem. Ich mieszkańcy albo zostali całkowicie odmienieni i wchłonięci, albo toczą nieustanną – i niestety z góry przegraną – walkę o przetrwanie. Takie bowiem są konsekwencje nieświadomego wejścia w kontakt z najniebezpieczniejszym tworem czy też bytem – sam nie wiem, jak nazwać to radioaktywne cholerstwo, które wymyka się wszelkim próbom klasyfikacji, nawet jeśli spoglądasz na problem w ujęciu kwantowym.

W tym miejscu warto zadać sobie pytanie, czym tak naprawdę jest ów Czarnobylit. Zdaniem profesora Georgija Siemionowa, największego autorytetu w tej dziedzinie zarówno w naszym, jak i w wielu innych wymiarach, to jedna z podstawowych sił rządzących każdym wszechświatem. Wymykające się pojmowaniu radioaktywne wcielenie entropii, śmierci i stagnacji. Niematerialne, do pewnego stopnia świadome, ale czy aby na pewno żywe? Co do tego ostatniego chyba nawet profesor Siemionow nie miał całkowitej pewności.

Wiemy wyłącznie, że Czarnobylit (ten właściwy, pisany dużą literą) jest podobny pod wieloma względami do wirusów. On także dąży za wszelką cenę do maksymalnego rozprzestrzenienia się w ekosystemie, a co za tym idzie, do pełnej dominacji nad planetą, której mieszkańcy prędzej czy później nieopatrznie otworzą międzywymiarowe wrota, gdyż te przecież bardzo łatwo uchylić – choćby przypadkiem, na moment tylko, jak wielokrotnie się to stało w naszej rzeczywistości,

na przykład podczas prób atomowych. Choć w dwudziestym wieku przeprowadzono ich tysiące, to zaledwie milisekundowe połączenia z wymiarem Czarnobylitu pozwalały jedynie, by Skazanie przesączało się do naszego świata niezwykle powoli, drobina po drobinie, dzięki czemu zdołaliśmy uniknąć pełnoskalowej inwazji. Do niej trzeba by czegoś dużo trwalszego...

Los sprzyjał nam przez kilka dekad, aż do początku roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego, kiedy to doszło do katastrofalnej w skutkach awarii, w wyniku której nastąpiło stopienie rdzenia w czwartym reaktorze Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej. I tak mieliśmy cholerne szczęście, że na miejscu przebywał jedyny człowiek, który wiedział, z jak wielkim zagrożeniem to się wiąże. Mowa oczywiście o wspomnianym już przed chwilą profesorze Siemionowie, genialnym naukowcu, który badał ten fenomen od ponad dwu dekad, czyli od pamiętnego zdetonowania Car-Bomby nad archipelagiem Nowa Ziemia, gdzie po raz pierwszy zarejestrowano obecność radioaktywnego bytu wymykającego się ludzkiemu rozumieniu.

Nasz wymiar zawdzięcza przetrwanie przytomności umysłu i szybkim decyzjom profesora. Gdyby nie on, podzielilibyśmy los niezliczonych planet kategorii B (mniej wyniszczone światy) bądź nawet C (te, które ucierpiały w znacznie większym, można powiedzieć, że apokaliptycznym stopniu). Przy czym tak się składa, że to właśnie one interesują nas dzisiaj najbardziej, ponieważ możemy je nie tylko odwiedzać, ale i... eksploatować.

Nie ma co ukrywać – im gorszy ich stan, tym większy nasz zysk. Grabimy upadłe światy, czasem postępując z nimi równie bezwzględnie i bezlitośnie jak byt, który je wyniszczył. To niestety jedyny sposób na pozyskanie satysfakcjonującej

ilości najcenniejszego minerału, jaki od niemal stulecia napędza rozwój ludzkości. Skryształowana forma czarnobylitu (dla odróżnienia pisanego małą literą) jest nie tylko źródłem taniej i zarazem nieograniczonej energii, ale też – co chyba ważniejsze – kluczem do nowych wymiarów. Problem polega na tym, że nie ma jej w naszym świecie zbyt wiele. I nigdy nie będzie więcej, gdyż wtedy naszym udziałem stałby się los tych wszystkich nieszczęsnych cywilizacji z planet kategorii B i C.

Z tego powodu musimy szukać kryształów w liniach czasowych, które zostały wcześniej podbite i zasymilowane. Badamy je więc, katalogujemy i ostatecznie eksploatujemy, nie oglądając się na nic. Tym właśnie zajmujemy się my, planewalkerzy, międzywymiarowi konkwistadorzy drugiej połowy dwudziestego pierwszego wieku. A o tym, jak niebezpieczna to robota, świadczyć może ciągnąca się w nieskończoność lista nazwisk wykutych na marmurowym obelisku ku czci poległych na służbie, wzniesionym centralnie w parku pamięci za gmachem kwatery głównej Akademii.



Wylądowałem ponad czterdzieści kilometrów od miejsca, w którym zginął mój partner. Dave nie był pierwszą ofiarą tego koszmarnego wymiaru – i zapewne nie będzie ostatnią.

Wprawdzie ludzie z tej linii czasowej zetknęli się z Czarnobylitem kilka dekad po nas, ale okazało się, że nadal nie byli przygotowani do tego, by stawić czoło nietypowemu zagrożeniu. Pech bowiem chciał, że u nich profesor Siemionow już nie żył, zginął w wypadku drogowym na tyle dawno, że świat nauki zdążył zapomnieć o jego śmiałych teoriach.

Upadek tutejszej cywilizacji był więc z góry przesądzony, jak zawsze, gdy ludzie nie wiedzieli, z czym się mierzą, chociaż trzeba przyznać, że tutejsi mieszkańcy odwiekali zagładę, walcząc tyleż dzielnie co ofiarnie. Niewątpliwie pomocne było to, że przed upadkiem dysponowali o wiele większym potencjałem militarnym niż my w osiemdziesiątym szóstym roku.

W tej linii czasowej zimna wojna nigdy się nie skończyła. Po obu stronach barykady stały wciąż uzbrojone po zęby armie, które nawet po czarnobylitowej apokalipsie nie złożyły broni. W gruncie rzeczy niewiele brakowało, by ci biedacy zdołali opanować kryzys. Na szczęście dla nich Czarnobylit zaatakował w apogeum kolejnej odwilży, dzięki czemu obie strony nie rzuciły się sobie od razu do gardeł – cóż, skoro pełne zrozumienie problemu i zjednoczenie w obliczu wspólnego wroga nastąpiły zbyt późno, by mogło to cokolwiek zmienić.

A chaos, jak zawsze w takich przypadkach, sprzyjał forpocztom Cieni. Dość powiedzieć, że wszystkie elektrownie nuklearne tego świata w bardzo krótkim czasie zamieniły się w promieniotwórcze gruzowiska – i tak stary porządek upadł z hukiem w trzy miesiące od pierwszej katastrofy. Liczne portale prowadzące do wymiaru Czarnobylitu stanęły otworem, zalewając pechową Ziemię radioaktywnym koszmarem. Było ich – i jest nadal – tyle, ile skażonych izotopami wrzodów po dawnych reaktorach.

Tu nie ma Zony jako takiej, jej granice rozciągają się bowiem na całe kontynenty, a każdy człowiek, który zdołał przetrwać w tym piekle, należy dzisiaj do jednej z powoli słabnących, choć wciąż licznych militarnych frakcji. Idą one w dziesiątki, gdyż przed kataklizmem istniało niemniej armii, wyłączna różnica jest taka, że dostęp do broni staje się coraz trudniejszy, ponie-

waż przemysł upadł już dawno, tak jak odeszły w niepamięć niemal wszystkie przejawy zaawansowanej cywilizacji. Ocalańcy mogą więc liczyć głównie na to, co zostało wyprodukowane wcześniej. Podsumowując, mieszkańcy Ziemi numer 189 przegrali z kretesem już na starcie, choć pierwotnie wiele wskazywało, że ich bolesna agonia potrwa dekadę, może nawet dwie.

Mógłbyś w tym momencie zapytać, po co się tutaj pchamy, skoro jest tyle innych światów do odkrycia. Pierwszy powód jest banalnie prosty: tam, gdzie panują dogodniejsze warunki, nie ma dużo czarnobylitu, a potrzebujemy go coraz więcej, by zaspokajać cywilizacyjny głód własnego wymiaru. Drugi powód jest równie oczywisty: zdecydowana większość linii czasowych prezentuje się podobnie jak Stoosiemdziesiątkadziwiątko. Różnica polega na tym, że tutaj każde wskazanie mierników wychodzi poza skalę. Tak, trafiliśmy wreszcie na świat, którego zasoby mogą nie tylko zaspokoić nasze bieżące potrzeby, ale też stworzyć strategiczne zapasy.

Tu rodzi się pytanie: dlaczego nie zaatakowaliśmy tych biednych drani i nie wzięliśmy kryształów siły? Wyobraź sobie świat, w którym Związek Radziecki nigdy nie upadł, a co za tym idzie, dwa wrogie sobie bloki ideologiczne zbroją się na potęgę przez kolejne dekady, także w nowym tysiącleciu, pakując niewyobrażalne pieniądze w środki ataku i obrony. Większość z nich przetrwała inwazję Czarnobylitu, ponieważ radioaktywny wróg, z którym przyszło walczyć najpierw jednej, potem drugiej stronie, zawsze uderzał podstępnie, rozkładając system od środka, a promieniotwórczego skażenia nie zbombardujesz przecież ani nie rozstrzelasz.

Inna sprawa, że trudno walczyć z masami desperatów, którzy nie mają nic do stracenia i od dziecka uczą się strategii

przetrwania we wrogim środowisku, a ręczę ci, że na tej planecie nie znajdziesz człowieka, który nie pasowałby do powyższego opisu. Nawet ogromna przewaga technologiczna, którą bezsprzecznie posiadamy, nie wystarczyłaby do utrzymania zdobytych wielkim kosztem przyczółków. Dlaczego? Miejscowi są sprytni i bezwzględni, do tego sztukę walki wysysają z mlekiem matki. Poza tym nikt nie może mieć pewności, że nie połapaliby się szybko, o co tak naprawdę nam chodzi, i nie zagroziliby zniszczeniem głównych skupisk kryształów, które dla nich są kompletnie bezwartościowe.

Czyż nie tak postąpili w trakcie pierwszego desantu? Czy nie zbombardowali naszego oddziału natychmiast po założeniu obozu, ledwie sprzęt wydobywczy został dostarczony na powierzchnię największymi portalami? Czy nie użyli kilku hipersonicznych pocisków nuklearnych, ukrytych w chmurze wabików? Co z tego, że udało się strącić dziewięćdziesiąt dziewięć procent nadlatujących celów, skoro wystarczył jeden przepuszczony, by zeszklić wszystko w promieniu parunastu kilometrów, niszcząc także dobra, po które przybyliśmy.

My na swoim terenie nigdy nie zdecydowalibyśmy się na użycie najpotężniejszej broni, ale w ich świecie, przeżartym na wskroś Czarnobylitem, nie zrobiło to na nikim większego wrażenia. Miejscowi nieraz udowodnili, że są gotowi na każde poświęcenie, podczas gdy u nas, w społeczeństwie zasobnym i pokojowo nastawionym, od czterech pokoleń niemającym do czynienia z kryzysem ani z wojną, strata każdego człowieka urasta do rangi tragedii, i to w wymiarze ogólnonarodowym. Dlatego zaniechaliśmy rozwiązań siłowych, porzuciliśmy Stosiemdziesiątkędziesiątkę i skupiliśmy się na odkrywaniu nowych światów.





Jednak tak bogate złoża nie dawały o sobie zapomnieć. Długimi latami kusiły decydentów Akademii – w zaciszu gabinetów opracowywano kolejne plany podboju (z których zdecydowana większość nigdy nie ujrzała światła dziennego), aż ktoś wpadł na szatański pomysł, by spróbować przekupienia co znaczniejszych watażków.

Genialne w swojej prostocie rozwiązanie dałoby się bez trudu wprowadzić w czyn, gdyby nie pewien drobny, ale istotny problem. Miejscowi, choć nie rozgryźli, czym jest Czarnobylit, zdołali pojąć, że to opętani przez niezrozumiałą moc ludzie doprowadzili do zniszczenia wszystkich reaktorów, a przy tym przerobili cały znany im świat w jedną wielką Zonę. Czy można ich więc winić za to, że zabijali każdego wysłannika, zanim ten zdążył otworzyć usta, i ignorowali nadawane bez końca transmisje, żywiąc graniczące z pewnością przekonanie, że to tylko kolejny podstęp największego wroga? Źródła tych sygnałów, czyli wiszące nad odległymi oceanami harwestery, były przecież naszpikowane sprzętem zasilanym energią czarnobylitu, tą samą, która mieszkańcom planety kojarzyła się wyłącznie z upodleniem, śmiercią i zniszczeniem.

Dave Cook, mój serdeczny przyjaciel i zarazem jeden z najlepszych zwiadowców NAR, człowiek, z którym zaliczyłem wiele trudnych misji w różnych wymiarach, przekonał się o tym w najboleśniejczy możliwy sposób. Choć zachowaliśmy daleko idącą ostrożność, jego portal namierzyła sprytnie zamaskowana autonomiczna stacja obronna, którą nasz wywiad niestety przeoczył, i biedak natychmiast po wykryciu został ostrzelany amunicją kasetową. Rozerwało go na strzępy, ledwie postawił stopę na tej przeklętej ziemi.

Ja zgodnie z planem miałem zejść na powierzchnię drugi, gdy tylko otrzymam meldunek o oczyszczeniu przedpola. Czekałem na niego w pełnym rynsztunku dwa kroki od migoczącego uspokajającym szmaragdem kręgu i kiedy wreszcie dotarł do mnie z nieznacznym opóźnieniem, zdecydowanie wkroczyłem w czarnobylitową mgłę międzyprzestrzeni.

Zastany widok mocno mnie zaskoczył – był całkowicie odmienny od tego, który studiowaliśmy długimi godzinami, opracowując najlepszą strategię infiltracji. Zamiast na wpół martwego lasu przed moimi oczami rozciągała się sięgająca odległego horyzontu skalista równina, w wielu miejscach porośnięta krystalicznymi strukturami, dużo większymi niż te, na które natykałem się w innych wymiarach, do tego pocięta siecią rozpadlin. W polu widzenia nie miałem za to ani jednego powykręcanego uschniętego drzewa, od jakich w okolicy lądowania powinno się roić. Nie zobaczyłem też przyczajonego wśród nich partnera.

Niedobrze...

Nie pytałem, dlaczego bez uprzedzenia rzucono mnie na inny odcinek, bo to musiała być decyzja samej góry. Portale są niezwykle precyzyjnym sprzętem, a sterujące nimi programy wykluczają pomyłkę. Z tą myślą kołatającą mi się gdzieś z tyłu głowy zrobiłem to, co podpowiadał rozsądek: ruszyłem biegiem ku najbliższej rozpadlinie czy też parowowi, który krzyżował się z setkami podobnych szczelin, powstałych zapewne na skutek nieznanych mi procesów geologicznych.

Po kilku krokach otrzymałem pierwszy rozkaz.

– Oddal się jak najszybciej od portalu – wyrecytował mi prosto do ucha oficer prowadzący. – Przeciwnik zdołał namierzyć miejsce lądowania. W twoim kierunku lecą już trzy pociski

samosterujące. Masz dwie minuty na znalezienie bezpiecznego schronienia.

– Nie możecie ich strącić? – wysapałem, nie zwalniając.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

– Nie mamy czym. Jednostki wsparcia powietrznego także zostały ostrzelane. Jedną straciliśmy, dwie pozostałe musieliśmy wycofać.

Szlag by to...

Najbliższa rozpadlina biegła poprzecznie do kierunku, który przed momentem obrałem. Co gorsza, pierwsze jej rozwidlenie znajdowało się ponad dwieście metrów od miejsca, do którego zdołałem dotrzeć, i na dodatek było szczelnie wypełnione kryształem mieniącym się wszystkimi odcieniami zieleni. Tamtędy nie przejdę. Nie zastanawiając się długo, przyśpieszyłem, by jednym susem pokonać niemal trzymetrowy parów. Ryzykowne posunięcie, ale się opłaciło. Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej biegła kolejna rozpadlina, szersza i zapewne głębsza, wdzierająca się między największe skupiska czarnobylitowych narośli i prowadząca mniej więcej na północ, czyli w najbardziej pasującym mi kierunku. Co więcej, na przestrzeni kilkuset metrów dostrzegłem kilkanaście innych rozwidleń, w których mogłem zniknąć, gdyby prześladowcy pojawili się tu w ślad za nadlatującymi pociskami.

Nie zwalniając, przeskanowałem teren przed sobą, by sprawdzić, jak głęboki może być ten jar. Dno rozpadliny znajdowało się ponad cztery metry niżej, ale na szczęście nierówne ściany miały sporo wgłębień i występów, z których mogłem skorzystać. Sprzęt natychmiast wskazał trzy najłatwiejsze drogi zejścia, ale nie skorzystałem z żadnej z nich. Na tym odcinku bowiem dno rozpadliny było wąskie i nierówne, bieg po nim mógłby się marnie skończyć.

Zerknąłem na ekranik tabletu. Od uderzenia w portal dzieliło mnie jeszcze osiemdziesiąt sześć sekund. Kolejna decyzja była w równym stopniu szybka jak prosta: biegnąc po powierzchni, dużo szybciej oddalę się od punktu zero. Minusem było oczywiście zwiększone ryzyko wykrycia przez wroga, dlatego postawiłem na salomonowe rozwiązanie. Zejdę na dół za mniej więcej pół minuty, po czym błyskawicznie zacznę kłuczyć po licznych odgałęzieniach, aby zmylić ewentualną pogoń.

Trzydzieści sześć sekund później zniknąłem w rozpadlinie, która przez następne sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów była na tyle szeroka, że bez trudu dało się wypatrzeć równiejsze fragmenty dna, dzięki czemu nie musiałem zwalniać.

Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy do moich uszu dotarło natarczywe pikanie timera. Od uderzenia dzieliło mnie już tylko pięć sekund. System od razu podświetlił najlepsze kryjówki, wybrałem najpłytszą – tylko w niej byłem ustawiony plecami do portalu. Sprawdziłem odległość. Trzysta dwadzieścia metrów w linii prostej, niby dużo, ale jeśli ci kretyni posłali atomówkę... Wiedziałem, że są do tego zdolni.

Skuliłem się, oczekując najgorszego. Odliczanie dobiegło końca, na ekraniku tabletu zamigotały cztery czerwone zera. Minęła jedna sekunda, potem druga i... nic. Otworzyłem oczy, nie rozumiejąc, dlaczego System tak bardzo się pomylił – i wtedy się zaczęło. Zasrańcy dobrze wiedzieli, co robią, znali przecież ten teren lepiej niż ja. To nie była atomówka, nie przywalili też konwencjonalną głowicą.

O, nie. Posłali nad tę równinę trzy bomby paliwowo-powietrzne. Gdybym nie miał na sobie pełnego kombinezonu i aparatu tlenowego na twarzy, pewnie skończyłbym na tym pustkowiu z wypalonymi albo rozerwanymi płucami. Wysze-

dłem wprawdzie poza pole rażenia termicznego i miałem dobrą osłonę, ale byłem świadomy, że to dopiero pierwszy akt zniszczenia serwowanego przez ten rodzaj broni. Zakazany u nas od pół wieku syf wysysał tlen z całej okolicy, zabijając przy okazji wszystko, czego nie zdołał wcześniej spalić.

W tym przypadku cug był tak silny, że miotnęło mną w stronę rozwidlenia parowu, gdzie pokryte kryształami ściany niemal się stykały, przez co utknąłem w przewężeniu. Moment później nad moją głową przetoczyła się ognista fala uderzeniowa. Leżałem na plecach i obserwowałem z przerażeniem, jak nade mną przechodzi. Była tak silna, że podźwignęła mnie, jakbym był piórkiem, ale trwała zbyt krótko, abym został wyspany na powierzchnię i porwany jak wiele walającego się wokół śmiecia. Gorzej, że po jej przejściu spadłem z wysokości prawie trzech metrów. Tym razem uratował mnie plecak, na którym wylądowałem jak na poduszce powietrznej.

– Masz szczęście, że odrobinę przestrelili – poinformował sekundę później Kosa, oficer nadzorujący tę misję. – Ale to koniec dobrych wiadomości. Z najbliższej bazy wystartowały właśnie trzy koptery. Dotrą nad twoją pozycję za mniej niż kwadrans.

Piętnaście minut to niby niewiele, ale w tak dogodnym terenie powinno mi wystarczyć na znalezienie odpowiedniej kryjówki.

– Co z Kucharzem? – zapytałem, próbując niezdarnie wstać.

Z trzydziestoma kilogramami wyposażenia na plecach nie było to wcale takie łatwe. Leżąc na dnie parowu, zaczynałem rozumieć, jak podle muszą czuć się chrząszcze, gdy po niefortunnym upadku wywrócą się do góry nogami. Na szczęście miałem mózg i potrafiłem z niego korzystać. Zamiast machać

bez sensu kończynami, obróciłem się jednym szarpnięciem na bok, potem przetoczyłem na brzuch i już po kilku sekundach stałem chwiejnie na nogach. Nade mną wciąż szalała wichura, teraz już nie ognista, choć powietrze nadal wypełniały tony popiołu i wzniesionego falą uderzeniową pyłu. Sam niewiele widziałem, ale i wróg był chwilowo oślepiiony, co zwiększało moje szanse na ucieczkę.

– Zajmij się sobą, człowieku – sapnął mi w ucho spanikowany Kosa, zamiast wdawać się w wyjaśnienia. – Nie masz za dużo czasu.

Zmienił sprytnie temat, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Miałem większe problemy na głowie.

Powinienem ruszyć dalej natychmiast, nie zwlekając ani sekundy dłużej, ale... nie zrobiłem tego. Przeskanowałem za to teren na południe od kryjówki, tam gdzie eksplodowały bomby paliwowo-powietrzne. Tam gdzie wcześniej stał portal. Rozumowałem prosto: jeśli chcę ocaleć, muszę myśleć nie-szablonowo. A gdzie jest najciemniej? Oczywiście pod latarnią.

Ci, którzy za chwilę tutaj przylecą, będą mnie szukać w jakimś promieniu od miejsca, gdzie zniknąłem im z radaru. Najprawdopodobniej zaczną od dokładnego sprawdzenia każdej rozpadliny, którą mógłbym się oddalić od wypalonego do gołej skały punktu zero. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostałby przecież w pobliżu, zwłaszcza wiedząc, że nadlatują.

System w okamgnieniu przeanalizował okolicę i wskazał potencjalne kryjówki. Dzięki ukształtowaniu terenu było ich sporo, choć tylko parę rokowało większe nadzieje. Wiedziałem, jakim sprzętem dysponują miejscowi, wiedziałem też, jak mogę go oszukać, mimo że nie będzie to łatwe. Nie musiałem się przesadnie śpieszyć – kwadrans to jednak szmat czasu,

jeśli nie musisz czynić przygotowań, a ja potrzebowałem tylko minuty, może dwu na rozstawienie osłony. Dużo ważniejsze było znalezienie najodpowiedniejszego miejsca, ale i ten element planu – dzięki Systemowi tabletu, zasilanemu najnowszą generacją SI – nie powinien zabrać wiele czasu.

Po krótkim zastanowieniu wybrałem zagłębienie w skalnej ścianie znajdujące się najbliżej dymiących wciąż jak diabli szczątków portalu i jednego z kryształów stopionych eksplozjami. Tam skażenie ze zniszczonego teleportera i naruszonej czarnobylitowej narośli będzie wystarczająco wysokie, by ukryć przed miernikami moje własne odczyty. Najpierw jednak musiałem zadbać o zmyłkę. Ruszyłem pośpiesznie w przeciwnym kierunku, do odległego o kilkanaście metrów miejsca, które idealnie się nadawało, by zrealizować pierwszą część planu.

Opróżniłem tam plecak, rozsypując na dnie jaru paręnaście kilogramów zabranego celowo, mocno podniszczonego sprzętu, co miało mi pomóc w zmyleniu ewentualnej pogoni. Spryskanie skał krwią z dwóch woreczków i rzucenie na ziemię rozbebeszonego pakietu medycznego dopełniły dzieła.

Miejscowi byli zbyt cwani, by tę maskaradę uznać za dowód na to, że zginąłem, ale kiedy znajdą zniszczone graty, powinni dojść do wniosku, że detonacja pozbawiła mnie całego wyposażenia i do tego raniła, może nawet poważnie. Liczyłem, iż to osłabi ich czujność i sprawi, że przeszukując teren, przeoczą niewielkie odchylenie w odczytach mierników.

Dużo lżejszy, przebiegłem kolejne osiemdziesiąt, może sto metrów, aż do miejsca, gdzie jar był nieco płytszy i co ważniejsze, znajdował się w polu rażenia jednej z bomb paliwowo-powietrznych. Ogień strawił tam wszystko, rachityczną roślinność i warstwę gleby będącej jej podłożem, pokrywając nie

tylko dno, ale i ściany rozpadliny smolistym, wciąż gorącym popiołem. Skany wykazały, że wokół wciąż unosi się wystarczająco dużo napromieniowanych drobinek, pozostałości po zniszczonym portalu i nadtopionym kryształach, bym nie wyróżniał się na ich tle.

Przyjrzałem się uważnie zagłębieniu wskazanemu przez System. Było to zwykle pęknięcie w ścianie, głębokie na metr, nie więcej, i na tyle szerokie, bym zdołał się w nie wcisnąć. Otworzyłem niemal pusty plecak, wyjąłem emiter maskujący i rozmieściłem je na obu krawędziach zagłębienia, tak by osłona, którą za moment stworzą, przesłoniła moją kryjówkę. Zerknąłem na zegarek – koptery pojawią się na miejscu za niecałe pięć minut. Tyle czasu wystarczy z nadstatkiem, by doszło do zastygnięcia i utwardzenia milimetrowej warstwy aktywnych polimerów imitujących wygląd otoczenia, w tym przypadku osmalonych skał.

Ściskając pistolet w dłoń, wsunąłem się niezwykle ostrożnie do kryjówki i nabrawszy tchu, uruchomiłem emiter. Potem przyglądałem się w milczeniu, jak pajęczyna tkanych przez nie cieniutkich nici powoli, lecz niestrudzenie przesłania mi widok.

W ciągu minuty półmrok zalegający w szczelinie zgęstniał do tego stopnia, że otoczyły mnie kompletne ciemności. Ciche trzaski, w których asyście osłona twardniała, upodabniając się fakturą i barwą do otaczających ją skał, były jedynymi dźwiękami aż do chwili, gdy z oddali dobiegło narastające głucho dudnienie pracujących wirników.

Wróg dotarł na miejsce. Za moment zaczniesz przeczesać teren. Najpierw z powietrza, a kiedy już namierzy potencjalne kryjówki, także z ziemi. Przełknąłem ślinę, chwytając mocniej

kolbę broni, która nie była w stanie odmienić mojego losu, jeśli dojdzie do otwartej walki. Chwilę wcześniej wyłączyłem każde urządzenie zasilane czarnobylytem, w tym tablet, tracąc zarazem możliwość kontaktu z harvesterem i co za tym idzie – obserwacji przedpola.

Wypięte akumulatory trafiły do przewidzianego specjalnie na tę okazję grubo izolowanego pojemnika. Zrobiłem to wszystko, by zminimalizować emisję promieniowania, którego nie powstrzymywała niestety cienka osłona, mająca tylko za zadanie zmylić czyjś oczy. Ufałem, że to wystarczy, aby wtopić się w tło skażone zniszczeniem portalu. O materialne ślady bytności na zewnątrz nie musiałem się martwić – spadające wciąż z nieba płyty sadzy i popiołu zasypywały całą okolicę, błyskawicznie grzebiąc pod sobą każdy odcisk buta.

Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, pozostało mi już tylko czekanie.

Warkot rotorów narastał. Wielkie maszyny bojowe złamały szyk po dotarciu nad wypalony chemicznym ogniem fragment równiny. Nie schodziły na razie niżej, bo to groziło wzbiciem w powietrze kolejnych ton osadu i kompletną utratą widoczności.

Teren systematycznie przeczesywano detektorami, sprzętem dużo prymitywniejszym od tego, czym my obecnie dysponowaliśmy, ale i tak wystarczająco dobrym, by wykryć źródła silniejszej radiacji, takie jak moje wyposażenie czy nawet ja sam. Zaaplikowany mi czarnobylyt nie dawał aż tak klarownych odczytów jak urządzenia zasilane energią czerpaną z rafinowanych kryształów, ale odpowiednimi narzędziami można go było wykryć bez większego trudu. A miejscowi od niedawna je mieli! Co gorsza, charakterystyka tego promieniowania nie

różniła się specjalnie od charakterystyki promieniowania emitowanego przez Cienie – czy też Diabły, jak tutaj nazywano skażonych ludzi, którzy służyli podstępemu najeźdźcy.

Wstrzymałem oddech, gdy łomot pracujących na pełnych obrotach wirników stał się jeszcze głośniejszy. W obecnej sytuacji nie miało to wprawdzie większego sensu, ale zareagowałem instynktownie, jak zawsze w momencie zagrożenia. Najbliższe sekundy będą decydujące. W pewnej chwili się wzdrygnąłem, jakbym wyczuł omiatającą mnie wiązkę fal, co było idiotyczne, bo nie tak działały ich detektory.

Sekundy rozciągały się za sprawą adrenaliny, co zauważyłem po zwalnającym coraz bardziej hurkocie rotorów, który zmienił się w rytmiczny stukot, jakby łopaty w wirnikach kopretów cięły wodę albo smołę, a nie rzadkie powietrze. W końcu hałas zaczął słabnąć, jeszcze chwila i mogłem odetchnąć. Miejscowi przelecieli po prostu nad punktem zero, kierując się poza spalony obszar, bo tam koncentrowano poszukiwania.

Nie wiem, ile to trwało, ale dranie podeszli do roboty merytorycznie i nie śpieszyli się zbytnio. Po dłuższym czasie wychyciłem zmianę wygrywanej silnikami melodii – jedna z trzech maszyn przyziemiła. Oczami wyobraźni widziałem zsuwających się po linach komandosów, których zadaniem będzie dokładne sprawdzenie podejrzanych miejsc wybranych przez ich kolegów. Trzy razy otwierali ogień, klekotu ich broni maszynowej nie dało się pomylić z niczym innym, choć do czego strzelają, nie miałem pojęcia. Może ich działania przyciągnęły pałętających się w pobliżu tutejszych przemieńców – a po naszymu czarnohostów, gdyż taką nazwę nosili skażeni u nas – względnie wałęsające się dzikie zwierzęta, zakładając, że jakieś tu jeszcze żyły. Trudno mi było powiedzieć, stałem

przecież w ciemnym i ciasnym skalnym zagłębieniu, gdzie z najwyższym trudem udawało mi się zaczerpnąć tchu.

Wreszcie na zewnątrz zapanowała względna cisza. Koptery odebrały desant, po czym odleciały. Słyszałem wyraźnie, jak warkot ich silników milknie w oddali. Nie ruszyłem się jednak z miejsca, zapaliłem tylko latarkę na hełmie i wysuplałem baterię tabletu z pojemnika. System potrzebował chwili, by ponownie wstać, ale czekałem cierpliwie, nie chcąc niepotrzebnie ryzykować. Musiałem zyskać pewność, że wszyscy miejscowi się stąd zabrali. Głupio byłoby wyleźć prosto na celownik snajpera czającego się wśród skał i formacji kryształów.

Gdy System ponownie się zameldował, nie połączyłem się z Kosą przez komunikator, wolałem wysłać dużo cichszą wiadomość tekstową. Odpowiedź przyszła natychmiast:

CZYSTO.

Tam, na górze, także musieli siedzieć jak na szpilkach.

Sięgnąłem po nóż. Kilka zamachów wystarczyło, by guz na rękojeści rozbił twardą, ale bardzo kruchą osłonę. Na zewnątrz zrobiło się jasno, zdecydowana większość popiołów zdążyła opaść, zaścielając całą okolicę grubym szaroczarnym kożuchem. W rozpadlinach też było go pełno, tak że już po paru krokach zrozumiałem, iż marsz po dnie nie będzie zbyt bezpieczny. Przez ten lepiący się do podeszew syf nie widziałem, gdzie mogę postawić stopę.

– Wszystko w porządku? – zapytał oficer prowadzący, gdy tylko aktywowałem komunikator.

– O tyle o ile – odparłem, nadal się rozglądając.

Według wskazań Systemu od wyznaczonego przez górę obszaru działania dzieliło mnie ponad sześćdziesiąt pięć

kilometrów w linii prostej. Sporo jak na marsz piechotą, zwłaszcza przez ten istic księżycowy krajobraz.

– Możesz kontynuować misję? – odezwał się profesor Koniagin, dowódca harwestera.

– Damy radę, jeśli... – zacząłem odpowiadać, ale nagle coś mnie tknęło. Nie wiem, czy chodziło o ton profesora, czy o użytą przez niego liczbę pojedynczą, a może w końcu zdałem sobie sprawę, że Kosa nie raczył mi odpowiedzieć na poprzednie pytanie. – Co z Cookiem? – wróciłem do interesującego mnie tematu.

Trzy sekundy kłującej w uszy ciszy nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Nie miał szans – wydukał w końcu Kossakowski, potwierdzając moje podejrzenia. – Umieściliśmy portal pięć klików od nieoznaczonej baterii obrony rakietowej. Musiała być uśpiona od wielu lat, bo nie mieliśmy jej w rejestrze – dodał zaraz, próbując się usprawiedliwić.

– Szlag...

Nie trzeba bogatej wyobraźni, by zrozumieć implikacje. Pięć kilometrów. Rakiety miejscowych pokonywały taki dystans w kilkanaście sekund, maksymalnie minutę, jeśli doliczyć czas potrzebny na wybudzenie systemu i namierzenie celu. Dave zdążył więc opuścić portal, ale faktycznie nie miał szans, żeby opuścić pole rażenia.

– Potraktowali go tym samym szajsem co mnie? – zapytałem, z trudem wyduszając kolejne słowa.

Jakie to ma znaczenie, czy się spalił, czy rozerwało go na strzępy? – upomniałem się w duchu. I co ważniejsze: czy na pewno chcę to wiedzieć?

– Nie, tam poszła zwykła amunicja kasetowa.

Naoglądałem się skutków podobnego ostrzału nie tylko na filmach puszcanych nam podczas szkolenia. W wielu innych wymiarach trafialiśmy na mniej lub bardziej zdecydowany opór miejscowych, choć dzięki znaczącej przewadze technologicznej i znakomitemu rozpoznaniu rzadko ginęliśmy w otwartej walce.

– Możesz kontynuować misję? – powtórzył pytanie Koniegin.

Zimny drań, pomyślałem, hamując się, by nie rzucić kąśliwej uwagi pod jego adresem.

Znaliśmy ryzyko, wyruszając do tego przeklętego wymiaru. Można powiedzieć, że w pewnym sensie godziliśmy się na nie.

– Tak – odparłem zwięźle, aby nie wylała w moim głosie rozgoryczenia.

– Dasz sobie radę w pojedynkę? – W głosie Kosy dało się wyczuć zaniepokojenie. – Możemy cię wycofać choćby zaraz.

– Dam sobie radę sam – oświadczyłem zdecydowanie.

Byłem szkolony do takich misji. Ta wprawdzie będzie trudniejsza od wcześniejszych, ale kto miałby ją wykonać, jeśli nie ja? Zaproponowano mi ten kontrakt, ponieważ należałem do grona najlepszych w tym fachu. Nigdy jeszcze nie nawaliłem, wyszedłem z tuzina poważnych opresji, przegadywałem najbardziej opornych przeciwników... To wszystko prawda, ale tutaj, teraz, po raz pierwszy zaczynałem wątpić, czy sobie poradzę.

Ten świat był tak popieprzony, że całe moje doświadczenie mogło zdać się psu na budę. Wycofanie nie wchodziło jednak w grę, nie po tym, co się stało. Byłem to winny Dave'owi. Gdybym zażądał ponownego otwarcia portalu, jego poświęcenie straciłoby sens.

Co gorsza, gdybym się wycofał na tym etapie, dowództwo nie podjęłoby tak szybko następnej próby infiltracji. Koniegin

doskonale o tym wiedział – i dlatego tak naciskał. Dyskusje, czy ta operacja nie jest zbyt ryzykowna, ciągnęły się przecież tygodniami. Całkiem słusznie, jak widać. Straty Dave’a nie da się łatwo powetować, był weteranem Akademii, wartym dziesięciu albo i dwudziestu innych zwiadowców. Uchodził za kandydata na kolejnego szefa Departamentu Szkoleń.

Poza tym – gdyby nawet wydarzył się cud i Surowkin zgodziłby się na wysłanie tu drugiego doświadczonego zwiadowcy – ten nie pojawiłby się w porę. Na znalezienie kogoś wystarczająco dobrego trzeba by ze trzy dni. Wprowadzenie nas w szczegóły misji zajęło prawie tydzień, ale może udałoby się skrócić ten czas do trzech dni. To w sumie sześc, czyli o jeden za dużo.

Ta misja ma bowiem szanse powodzenia wyłącznie w jednym przypadku: jeśli znajdziemy się w wyznaczonym miejscu w niedzielę rano. Dzień wcześniej cel wyruszy na doroczną inspekcję posterunków. Tylko w tym momencie zdołamy go przejąć. Jeśli nie zrobimy tego w poniedziałek, o konkretnej godzinie, następna okazja trafi się dopiero za dwanaście miesięcy, o ile ten biedny drań przeżyje do tego czasu albo nie zmieni zwyczajów, na co także nie mamy żadnej gwarancji. Reasumując: choćby góra stanęła na głowie, nie zdąży przysłać zastępcy Dave’a, a gdyby mimo wszystko to zrobiła, musiałaby go teleportować znacznie bliżej miejsca akcji – tym samym postawiono by w stan gotowości okoliczne garnizony, przekreślając nasze szanse na sukces.

Zatem nie, panowie. Będę kontynuował misję, gdyż jej poniechanie oznaczałoby, że mój najlepszy przyjaciel zginął nadaremnie, a na to za nic w świecie nie pozwolę.

– Dam radę – rzuciłem ponownie, kończąc dyskusję.





Wydostałem się na powierzchnię w najbliższym dogodnym miejscu, na samym skraju wypalonego terenu. Zanim ruszyłem na południe, gdzie znajdował się cel, zahaczyłem raz jeszcze o rozpadlinę, w której rozrzuciłem wcześniej graty. Miejscowi znaleźli je oczywiście i wybierali do ostatniego, jak się tego spodziewaliśmy, ponieważ ich dowództwo miało chrapkę na nowinki techniczne.

A niech się męczą, pomyślałem z satysfakcją. Wiedziałem, że nie znajdą nic ciekawego. Góra zawsze dbała o to, by porzucony sprzęt był archaiczny i nie mówił zbyt wiele o naszych bieżących możliwościach.

Kawałek dalej natknąłem się na szczątki kilku czarnohostów, bo to do nich strzelali poszukujący mnie żołnierze. Przyjrzałem się im uważnie, by wiedzieć, z czym przyjdzie mi się mierzyć po drodze.

Jak u nas, byli to zmutowani przez kontakt z czarnobylitem ludzie, których nie łączyło z nami już nic prócz z grubsza humanoidalnych kształtów. Zielone lśniące narośle pokrywające ich głowy były nieco mniejsze niż u stworów spotykanych w większości linii czasowych, gdzie przemiana skażonych poszła dalej, podobnie jak w naszej Zonie. Nieszczęśnicy, którzy nie od razu stali się Cieniami, degenerowali się coraz bardziej, zatracając w końcu ostatnie ludzkie cechy. O ile w pierwszych dwóch-trzech dekadach po przemianie ich tkanki pozostawały nadal miękkie, to z czasem ulegały coraz większym deformacjom oraz postępującej krystalizacji. Dotyczyło to zwłaszcza ich dawnej skóry. Ci tutaj mieli zniekształcone dłonie – były to zaczątki wyrastających z ich ciał ostrzy i obuchów, znanych nam z wielu światów.

Czarnohosty z naszej Zony przypominały dzisiaj dwunożne bryły minerałów, a te z innych linii czasowych, gdzie inwazja

nastąpiła wcześniej, były uzbrojone nie tylko w broń białą, ale i we wrosnięte w ich ciała karabiny, laserowe albo protonowe. Nie ulegało wątpliwości, że w tym wymiarze ewolucja przebiegać będzie w identyczny sposób jak wszędzie indziej, a zatem dopiero za jakiś czas – i to liczony nie w latach, ale w dekadach – zaczną się upodabniać do tworów, z którymi mamy do czynienia zarówno u nas, jak i w wielu pozostałych światach.

Ta konstatacja poprawiła mi nastrój. Niby mówiono o tym wszystkim na odprawie, ale przekonanie się na własne oczy, że choć część danych wywiadu jest poprawna, niosło pewną pociechę. Zwłaszcza po tak potężnej wpadce, jaką było przecoczenie autonomicznej stacji obrony.

Z przyczyn obiektywnych nie miałem przy sobie najnowocześniejszej broni laserowej, wzorowanej na konstrukcjach tworzonych przez ciała przemieńców i zasilanej energią czarnobylitu – tak mocne źródło promieniowania miejscowi mogliby łatwo namierzyć. Na szczęście przeciw prymitywnym formom mutantów nawet zwykły karabin szturmowy się sprawdzi. Byle amunicji wystarczyło.



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku zdumiona ludzkość w bolesny sposób się przekonała, że żyje w multiwersum – że poza naszym istnieje najprawdopodobniej nieskończenie wiele równoległych wymiarów. Każda linia czasowa jest inna, ale na zaledwie kilku z odwiedzonych dotąd alternatywnych Ziemi istnieją cywilizacje zdolne do wydobywania bezcennej krystalicznej substancji zwanej czarnobylytem. Stanowi ona nie tylko źródło taniej i nieograniczonej energii. Jest także kluczem do eksploracji innych światów. Paradoksalnie ten minerał pozyskuje się z miejsc najbardziej skażonych Czarnobylytem – pisany przez duże „C”. Bytem? Wirusem? Nie wiadomo. W każdym razie jedną z podstawowych sił rządzących multiwersum.

W drugiej połowie XXI wieku poszukiwaniem linii czasowych bogatych w czarnobylyt zajmują się planewalkerzy. Misje, których się podejmują, są wyjątkowo niebezpieczne. Jak wyprawa na Ziemię 189 C, gdzie nic nie idzie zgodnie z planem. Po jej wykonaniu Adam Zahorski, jeden z najlepszych ludzi w branży, zamiast udać się na zasłużony urlop, prosi o kolejny przydział. Tym razem jego zadanie ma być łatwiejsze. Musi ustalić, kto złamał pakt zawarty pomiędzy cywilizacjami eksploatującymi multiwersum. Skok na Ziemię 156 B kończy się jednak odkryciem, które burzy stary porządek świata.

PARTNERZY WYDANIA:



CHERNOBYLITE

PATRONI MEDIALNI:

Fantastyka

Ostatnia lawerna

dlaStudenta.pl

NAPROMIENIOWANI.PL

LUBIE
CZYTAĆ

opętani
czytaniem

popkulturowcy

ebook dostępny na:
ebookpoint

SPLOT

wydawnictwospoty.pl



ISBN 978-83-289-3278-4